



POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem.

NAPISAŁ

JERZY SWOBODA.

1

Na dworcu lwowskim, w sali klasy pierwszej, przechadzał się równym, miarowym krokiem, niemłody, szpakowaty brunet, spoglądając z widocznym zniecierpliwieniem na drzwi, wiodące z kurytarza dworca do sali.

Po pewnej chwili rozpiął palto, sięgnął po złoty zegarek, wskazujący piątą godzinę i mruknął tonem uspokajającym:

— Jeszcze piętnaście minut...

Wtem otworzyły się drzwi wejściowe i wszedł a raczej wpadł młody człowiek, w rozpiętym paltocie i strząsając na lśniąca posadzkę kropelki wody z kapelusza przemokłego, zawołał tonem wesołym:

— Nie spóźniłem się... i z całą godnością powitał jego ekscelencyę radcę dworu — zaśmiał się.

Ojciec z odcieniem niezadowolenia spojrzał na mówiącego i marszcząc gęste, nasunięte na oczy brwi, ostrzegając:

— Proszę cię, Mundziu, tylko bez żartów ze stryjkiem Aleksandrem... to człowiek wielkiego znaczenia i wpływów... i zależy mi na tem, aby u nas czuł się tak dobrze, jak we własnym domu. Słyszysz? — kończył pytaniem, widząc, że syn Edmund błędził oczyma po sali i zdawał się nie słuchać.

— Słyszczę, ale nie tyle ciekaw jestem stryja, jak Olgi... Czy tatko ją zna?

— Nigdy nie widziałem — a usiadłszy na fotelu, rzekł z wymówką w głosie:

— Dlaczego się nie przebrałeś?... Nie ostrzygłeś ani ogoliłeś... wyglądasz jak socjalista!

Edmund uśmiechnął się, przystąpił do lustra i przypatrując się swemu odbiciu, rzekł:

— Włosy trochę za długie — przyczesywałem palcami gęsta, ciemna czuprynę — zapuszczam brodę, więc się nie gole, a ubranie mam tak przyzwoite, że każdy socjalista na pierwszy rzut oka pozna we mnie syna dyrektora filii banku handlowego — spojrzał na ojca wesołemi, ciemnymi oczyma.

Ten udał, że nie słyszał i mówił dalej tonem ostrzeżenia:

— Dla Olgi bądź uprzejmy, bez nadskakiwania... jak ze siostrą...

— Czy Olga długo zostanie u nas?

— Hm... to zależy... ojciec ma zamiar zostawić ją do wiosny. Dla nas będzie to wielką pomocą, a dla Aleksandra wszystko jedno, czy płaci za nią obcym, czy swoim.

— No tak... zapewne — mruknął syn — wolalibyśmy, aby nic nie płaciła... a czy wolno wiedzieć, dlaczego ona porzuca Petersburg i przenosi się tutaj?

— Stryj Aleksander pisał ogólnikowo... dowiemy się... O! Pierwszy dzwonek!

Wyszli na peron, na którym, jak zwykle w każdym większym mieście, snuli się ludzie wyczekujący, biegali gorączkowo tragarze, krzyczeli urzę-

dnicy kolejowi i tuż nadbiegł pociąg pospieszny, a niecierpliwi podróżni starali się otworzyć drzwi wagonów.

Z pociągu wysypał się gorączkowo tłum ludzi, z tobołkami, węzełkami, kuferkami, wśród krzyku, wrzawy, hałasu, nawoływań najrozmaitszymi tonami, a we wszystkich brzmiała nuta zniecierpliwienia.

Z pośród podróżnych trzeciej klasy młody człowiek, niepozornie ubrany, w znoszonym paltocie, w czapce starej, nasuniętej na czoło, trzymając węzełek w rękę, zobaczywszy Edmunda, zawołał głośno:

— Wojtyrski!... Co robisz tutaj?

Na wygłoszone nazwisko odwrócili się obydwa, ojciec lekceważąco zmierzył ubogo ubranego młodego człowieka i szedł dalej poważnie ku wagonom klasy drugiej. Syn przystanął na chwilę, przywitał się i rzekł z uśmiechem:

— Obowiązki rodzinne... a ty już wróciłeś? — dziwił się.

— Ważne nowiny przywożę... robota postępuje — dodał półgłosem.

Edmund, widząc niecierpliwe wyczekiwania ojca, szepnął:

— Za chwilę będę wolny... — i szybko pospieszył za ojcem, który go spytał suchym tonem z ironią:

— Cóż to za przyjaciel?

— Kolega z uniwersytetu... bardzo dzielny.

— Winszuję takich znajomości... jakiś oberwaniec.

— Pozory mylą — rzekł syn z goryczą — a ten, jak tato nazwał oberwaniec, Żalecki, używa u nas najlepszej opinii.

— Mogłby się też ubrać przyzwoicie — mruknął ojciec, rozglądając się bacznie po oknach wagonów.

Gdy pierwsza fala niecierpliwych minęła, poczęli wychodzić podróżni poważni, zasobni w liczne kuferki i pudełka, a w drzwiach jednego z wagonów ukazał się słuszny, elegancko ubrany mężczyzna, z długą, siwą brodą i zawołał głosem, nawykłym do rozkazywania:

— Hej! tragarz!

Rozejrzał się uważnie po peronie i oczy dwóch braci spotkały się. Zawołali też niemal jednocześnie:

— Aleksander!

— Jan!

Zbliżyli się do siebie bez widocznego pośpiechu, uścisknęli ręce serdecznie, ucałowawszy się przelotnie.

— Tyle lat — szepnął Jan głosem rozczulonym, patrząc ciekawie w twarz przybyłego.

— Dwadzieścia jeden — odrzekł poważnie, a widząc obok stojącego Edmunda — a to zapewne syn, o którym pisałeś... jest jednak pewne podobieństwo rodzinne...

— Edmundzie, przywitaj się!

Zbliżył się i swobodnie podał rękę do uścisku, co wywołało na twarzy ojca zakłopotanie, a u stryja lekkie zdziwienie, oczekiwali bowiem pokorniejszego przywitania.

— A gdzie Olga? — przerwał chwilowe milczenie ojciec Edmunda.

— Oto jest — wskazał na drzwi wagonu, w których stała właśnie ładnie ubrana, smukła blondynka, przypatrująca się ciekawie stojącej grupie.

Podeszli ku niej i po zaznajomieniu spytała dzwicznym głosem:

— A nasze rzeczy, papo?

— Ja się nimi zajmę — ofiarował się Edmund — może kuzynka być spokojną, wszystko będzie w porządku.

— Wpierw muszę pokazać te rzeczy — i cofnęła się w kurytarz wagonu.

Po chwili wyszła, a Edmund, idąc za nią, przypatrywał się z wewnętrznym zadowoleniem swej stryjecznej, że ona idzie równo, elastycznie, umie nosić swoją suknię, a ruchy jej są harmonijne i wdzięczne.

Przez krótką chwilę czekali na tragarzy, znoszących rzeczy do sali pierwszej klasy i Edmund miał sposobność przyjrzenia się kuzynce, której twarz wrażliwa, świeża, mimo zmęczenia podróży, mieniła się stosownie do otrzymanych wrażeń, i dostrzegł w kątach ładnych ust wyraz uporczywości z dziecinny i łagodnym wyrazem twarzy.

Szli razem długim kurytarzem ku wyjściu, a Edmund, spostrzegłszy oczekującego nań Żaleckiego, przyspieszył kroku i zbliżywszy się, szepnął:

— Dziś o ósmej u Waldmana.

— Dobrze — i patrzył badawczo na obok przechodzącą Olę. Spojrzenia ich skrzyżowały się. — Czy to krewna?

— Moja stryjeczna... Zatem o ósmej...

— Będę.

Edmund przyłączył się do idących, a w chwili, gdy na dorożkę wkładano rzeczy, spytała Olga obojętnie:

— Z kim rozmawiałeś, kuzynie?

— Z kolegą... Dlaczego pytasz?

— Tak sobie — uśmiechnęła się — byle o czem mówić.

W ładnie umeblowanym mieszkaniu Wojtyrskich czekał na gości przybyłych stół, zastawiony zimnem mięsiwem, ciastkami, a sama pani, kobieta starsza z łagodnym wyrazem twarzy, z uśmiechem najuprzejmiejszym witała:

— Przyjazd brata, to prawdziwa dla nas uroczystość rodzinna... a, Olga kochana — ucałowała ją serdecznie, co Olga przyjęła biernie — pragnęłabym, abyś u nas czuła się tak dobrze, jak u siebie w domu.

— U nas nie było zbyt wesoło — spojrzała na ojca — spodziewam się, że tu będzie lepiej.

Ojciec, który właśnie podnosił do ust filiżankę z herbata, postawił ją i rzekł zgryźliwie:

— Lepiej, gorzej, to pusty frazes... wszystko zależy od nas samych.

Zarumieniła się lekko i tylko błysk oczu ciemno-niebieskich zdradził jej niezadowolenie.

— Wszystko, jak wszystko — powątpiewał gospodarz domu — są bowiem wypadki, które zadowolą najlepsze rachuby.

— Rozumny człowiek jest też przygotowany i na niemożliwe wypadki — przemówił radca surowo.